

### Mateusz Kofakowski Dave Liebman Live at Jazz Standard

Fenommedia 2009

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

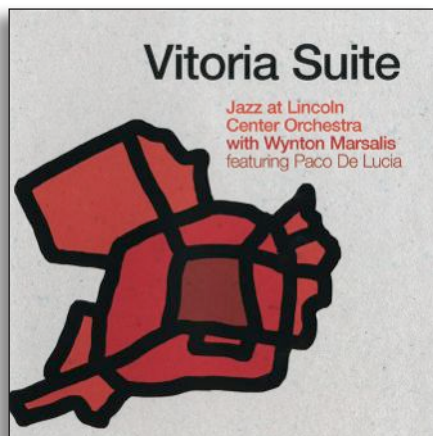
Fenommedia jest znana głównie z promocji nagrań znakomitego duetu braci Olesiów. Tym razem jednak mamy do czynienia z płytą nagraną przez przyjaciela rodzeństwa – pianistę Mateusza Kofakowskiego.

To też nie do końca prawda, bo co najmniej równorzędną postacią jest tu znakomity saksofonista (grający też na flecie) Dave Liebman. Obaj ponoć byli w stałym kontakcie od mniej więcej 2003 roku i kiedy Mateusz pojawił się w 2008 w Nowym Jorku, w sposób naturalny zrodził się pomysł wspólnego koncertu. Ten zarejestrowany na płycie miał miejsce w niewielkim Jazz Standard – miejscu sprzyjającym intymnej i bezpośredniej interakcji.

Z wyjątkiem jednej swobodnej improwizacji wszystkie utwory to standardy jazzowe. To naturalne – są rodzajem lingua franca, wspólnego języka, umożliwiającego porozumienie instrumentalistów, którzy wcześniej ze sobą nie grali. Jednak tu porozumienie nastąpiło na znacznie wyższym poziomie. Słychać, że muzycy nadają na tych samych falach. Nawet tak nobliwe tematy, jak „Body and Soul”, stają się jedynie punktem wyjścia do dalekich wycieczek improwizacyjnych.

Często zapuszczają się na terytoria kontrolowanego free, co dobitnie świadczy o tym, że czują się na scenie pewnie i wiedzą, czego mogą się po sobie spodziewać. Grać w ten sposób z Liebmanem potrafi naprawdę niewiele. ■

Marek Romański



### Vitoria Suite Jazz at Lincoln Center Orchestra with Wynton Marsalis

feat. Paco de Lucia

Universal 2010

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

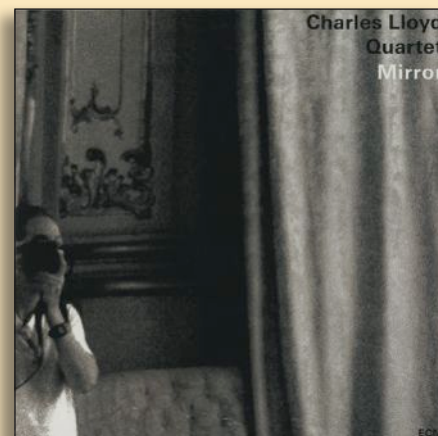
Wynton Marsalis lubi duże składy, a szefowanie orkiestrze Lincoln Center stwarza mu dobrą okazję do szybkiego weryfikowania kompozytorskich pomysłów. „Vitoria Suite” to kolejne dzieło po oratorium „Blood on the Fields” i monumentalnym „All Rise”.

Tym razem artysta próbuje przerzucić most pomiędzy Ameryką a Europą. Połączyć bluesa, różne odmiany jazzu z muzyką flamenco i tradycją Basków. 12-częściowa budowa kompozycji została zainspirowana 12-taktowym bluesem. Kolejne fragmenty – jak to w formach cyklicznych bywa – zostały uszeregowane na zasadzie kontrastów agogicznych.

Muzyka jest sprawnie napisana i świetnie zaaranżowana. Jest bogata w warstwie kolorystycznej, rytmicznej, fakturalnej, choć z kompozytorską inwencją lidera bywa różnie; drugi krążek CD jest wyraźnie słabszy. Walorem jest perfekcyjne wykonanie całości, niektóre solówki oraz udział Paco de Lucii (szkoda, że tylko w dwóch utworach).

„Vitoria Suite” budzi skojarzenia ze słynnym albumem „Sketches of Spain” Davisa/Evansa, nagrany pół wieku temu. Niektórzy chcieliby nawet uznać utwór Marsalisa za próbę zmierzenia się z legendarnym nagraniem, co jest chyba nieporozumieniem. O ile „Sketches” było dziełem pionierskim, o tyle „Vitoria” to już muzyka nieco wtórna, pozbawiona tamtej głębi i ducha. ■

Bogdan Chmura



### Charles Lloyd Mirror

ECM 2010

Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●●●●

Realizacja: ●●●●●

Charles Lloyd pozostanie fantastycznym saksofonistą i znakomitym liderem. Człowiekiem, w którego zespołach muzycy grają lepiej (a przynajmniej inaczej) niż w swoich własnych grupach. Dotyczy to m.in.: Keitha Jarretta, Michela Petrucianiego czy Bobo Stensona. W tej grupie sławnych pianistów dziś znalazł się „młody wilk” – Jason Moran. Nadzieja amerykańskiego jazzu pracę w formacji Lloyd'a traktuje niezwykle prestiżowo i wszem i wobec obwieszcza, że spełniło się dzięki temu jedno z jego życiowych marzeń.

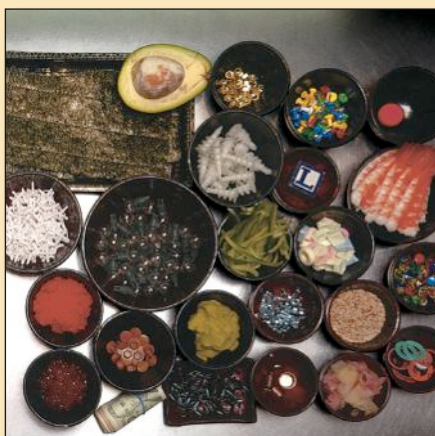
Grupa, która weszła do kalifornijskiego studia, by zarejestrować „Mirror”, nie jest nowa. Kwartet (obok lidera i Morana – Reuben Rogers na kontrabasie i Eric Harland na perkusji) nagrał już album koncertowy „Rabo de Nube” (2008).

Tym razem jednak zespół Lloyd'a zaprezentował się studyjnie.

I od razu powiem, że dla mnie jest to kandydatka na płytę roku 2010! Z tego albumu wręcz bije spokój i pewność siebie lidera, które udzielają się pozostałym instrumentalistom, a następnie – słuchaczom. I nie ma znaczenia, czy panowie grają połamane Monkowskie standardy, przebój The Beach Boys, wyświechtany „I Fall In Love Too Easily” czy kompozycje Lloyd'a. Wszystko brzmi, jakby tych czterech graków spędziło życie, cyzelując te tematy.

Lider w trakcie tych ponad 70 minut nie zagrał ani jednego niepotrzebnego dźwięku. To piękna, mądra i wysmienicie zarejestrowana muzyka. ■

Marek Romański



### Levity Chopin Shuffle

Universal 2010

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●●

Rok Chopinowski obfituje w nowe projekty. Niestety, żaden z nich nie poruszył mnie jakoś szczególnie. Powody? Wciąż te same: przyspawanie wykonawców do tradycji, rutyna i wtórność.

Ze stanu apatii wyrwał mnie dopiero album tria Levity, które na dwóch CD przedstawiło bezkompromisową wersję 24 preludium naszego romantyka. Ale uwaga: nie są to reinterpretacje utworów Chopina, tylko muzyka zupełnie nowa, zrobiona od podstaw, która może, ale nie musi odwoływać się do oryginału. To bardziej intelektualna gra ze słuchaczem, pobudzająca go do aktywnej percepcji, niż kompozycje w tradycyjnym rozumieniu. Chopin został kompletnie wymontowany z kontekstów romantyczno-narodowych i emocjonalnych. Stał się „czystą ideą”, migającą w kalejdoskopie pozornego chaosu.

Technika pracy Levity przypomina nieco metodę Uri Caine'a (m.in. Mahler, „Wariacje Golbergowskie” Bacha). Następuje tu jednoczesny proces twórczej dekonstrukcji i śmiałego modelowania. Zespół idzie chyba jeszcze dalej niż Caine, przynajmniej w zakresie formy, stosunku do tekstu bazowego i nowych technologii (studio nagrań jako instrument muzyczny).

Oprócz członków tria (Kita, Domagalski, Rogiewicz) na płytach słyszymy też m.in. japońskiego trębacza Toshinori Kondo oraz Gabę Kulkę. Lektura obowiązkowa! ■

Bogdan Chmura



### Tomek Grochot Quintet My Stories

TG 2010

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●●

Debiut „sesyjnego” perkusisty Tomka Grochota, który w końcu dojrzał do nagrania autorskiego albumu. W jego zespole znaleźli się: Adam Pierończyk, Dominik Wania, Robert Kubiszyn oraz amerykański trębacz Eddie Henderson. Materiał zarejestrowano ponad dwa lata temu. Na szczęście płyta jest już dostępna, co z pewnością ucieszy fanów akustycznego grania.

Album składa się z dziesięciu kompozycji Grochota, starannie napisanych i przemyślanych pod każdym względem. Tematy zaskakują świeżością i rozmachem. Czasem, jak w „Napoleonfish”, stają się odrębną częścią utworu. Ważnym elementem jest aranżacja (wysoki poziom) oraz równowaga między partiami zapisanymi a improwizacjami, co dziś bywa rzadkością.

Muzyka jest skondensowana. Ma zdecydowany, dynamiczny charakter. Kipi energią.

Gra Hendersona imponuje bogactwem kolorystyki i artykulacji. Pojawiają się w niej echa Davisa (nuanse intonacyjne, charakterystyczne repetycje) oraz Woody'ego Shawa. Znakomicie wypada też reszta muzyków: Adam Pierończyk (piękne brzmienie tenoru, niewiarygodne sola na sopranie), pianista Dominik Wania (grający także na fenderze) i Robert Kubiszyn. Tomek Grochot operuje gęstym, acz wyrównanym dźwiękiem. Ciekawie w grywa się w solówki kolejnych muzyków. Doskonały album nagrany w doborowym składzie. ■

Bogdan Chmura



### Nik Bartsch's Ronin Llyria

ECM 2010

Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●●○○  
Realizacja: ●●●●●

To już trzecia płyta zespołu szwajcarskiego pianisty Nika Bartscha dla niemieckiej oficyny ECM. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że szef tej wytwórni, Manfred Eicher, ma jasno skonkretyzowane brzmienie, które stara się promować na wydawanych przez siebie krążkach. Pod tym kątem dobiera też artystów.

Wyrafinowane „europejskie” harmonie, klasycyzujące brzmienie, atmosfera nostalgii i tajemniczości – to główne cechy „brzmienia ECM”. Nik Bartsch, na pierwszy rzut ucha, zdaje się do tych kryteriów pasować jak ulał. Zarówno preferowane przez niego harmonie, jak i ostre, przestrzenne smugi dźwięku, przypominające chwilami Garbarka, kojarzą się jednoznacznie z produkcjami ECM.

Jest jednak parę elementów, które odróżniają szwajcarską grupę od typowych ECM-owych przynudzań. Przede wszystkim słychać, że tym muzykom nie jest obca rockowa energia. Gra sekcji rytmicznej (z gitarą basową!) momentami pulsuje ze sporą werwą. Do tego Bartsch często stosuje proste, acz efektowne patenty rodem z muzyki repetytywnej. Czasem trafiają się też miłe melodie.

Z pewnością nie jest to arcydzieło; wątpię nawet, by sami muzycy takowe zamyślali. Mimo wszystko słucha się tego przyjemnie, w dodatku nie jest to twórczość szczególnie absorbująca uwagę. Można przy niej bezproblemowo wypooczywać, a to też ma swoją wartość. ■

Marek Romański